



PRZED WYKŁADEM



PARADA

ROK III

DRUGI NUMER W MAJU 1945 R.
M A Y 1945 (2nd ISSUE)

Nr 11 (55)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mil., w Iraku 30 fil., w Iranie 3,5 rik., w Anglii 9 d., w Afryce Wsch. 5 d., we Włoszech 12 lirów



Generałowie polscy entuzjastycznie witani przez ludność cywilną Bolonii



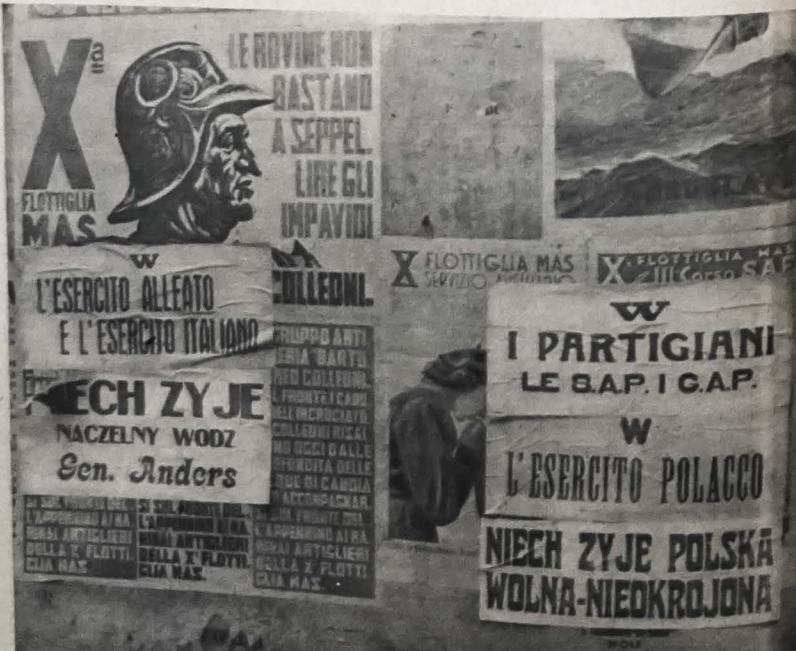
Flagi polskie, brytyjskie i amerykańskie zdobyły Imolę — obłożony przez rozentuzjasmowany tłum



Bolonia witała wybacwców flagami Sprzymierzonych

Afiszę wroga pokryły powitalne napisy

POWITANIE ZWYCIĘZCÓW



DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE
ROK III

PARADA

FORTNIGHTLY REVIEW OF
THE POLISH ARMY IN THE EAST
DRUGI NUMER W MAJU 1945

№ 11 (55)

NIEMCY ZWYCIĘŻONE

W chwili, gdy bieżący numer „Parady” szedł pod prasę, ogłoszono oficjalnie bezwarunkową kapitulację Niemiec. Po pięciu latach i ośmiu miesiącach walk, jakich dotąd nie znała historia — Niemcy zostały powalone. Jest to w pełnym tego słowa znaczeniu zwycięstwo wojenne. Armia niemiecka została pobita na polach bitew — zmiażdżona na lądzie, na morzach i w powietrzu. Rzesza leży w gruzach — w gruzach swych miast i w gruzach mitu swej rzekomej niezwyciężalności.

Zwycięstwo jest wspólnym dziełem Sprzymierzonych, osiągnięte olbrzymimi ofiarami. Ten historyczny dzień jest i polskim zwycięstwem. Niemcom nie ulegliśmy nigdzie. Walczyliśmy przeciwko nim od 1 września 1939 roku wszędzie i na wszystkich frontach tej wojny. Zwyciężaliśmy ich również w Kraju. Polskie Państwo Podziemne prowadziło nieustanną walkę przeciwko niemieckim okupantom, a polska Armia Krajowa z wszystkich armij sprzymierzonych walczyła najdłużej na froncie przeciwniemieckim. My Polacy, którzyśmy pierwsi podnieśli broń przeciwko Hitlerowi, którzyśmy pierwsi podnieśli broń w obronie demokracji, wolności i sprawiedliwości, święcić będziemy zawsze ów dzień triumfu nad łupieskim niemieckim najeźdźcą. Fatum dziejowe spełniło się nad Niemcami, ku potwierdzeniu zasady, że co jest zbudowane na krzywdzie, agresji, przemocy i gwałcie, musi upaść.

Dzielimy w pełni radość zwycięstwa z naszymi sprzymierzeńcami. Patrzymy z dumą i ze spokojem dobrze wykonanego obowiązku na owe lata walk, które więzami żołnierskiego braterstwa związały nas z brytyjskimi towarzyszami broni.

Jesteśmy wierni naszym soюзom właśnie dlatego, że w najcięższych nawet momentach potrafimy być wierni samym sobie — polskiej racji stanu.

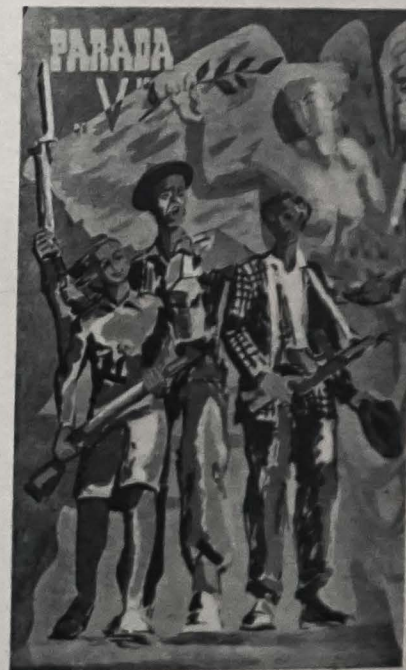
Zwycięstwo nad Niemcami nie oznacza naszego powrotu do domu. „Do Polski — jak powiedział Naczelny Wódz Generał Anders — wrócić możemy tylko z bronią w ręku” — jako żołnierze i obywatelowie wolnej i prawdziwie niepodległej Polski.

Rozpoczęliśmy tę wojnę w obronie podstawowego prawa wolności, prawa do życia w niepodległym państwie polskim. Z tego kardynalnego prawa nie zrezygnujemy nigdy, jak i nie wyprzemy się przekonania, że sprawiedliwość winna rządzić narodami, a nie siła.

W dniu wielkiego zwycięstwa chylimy czoła w hołdzie i w serdecznej zadumie, czcąc pamięć tych, którzy polegli. Wypełnili oni bez reszty swój obowiązek, ginąc w walce o Polskę całą, wolną i niepodległą.

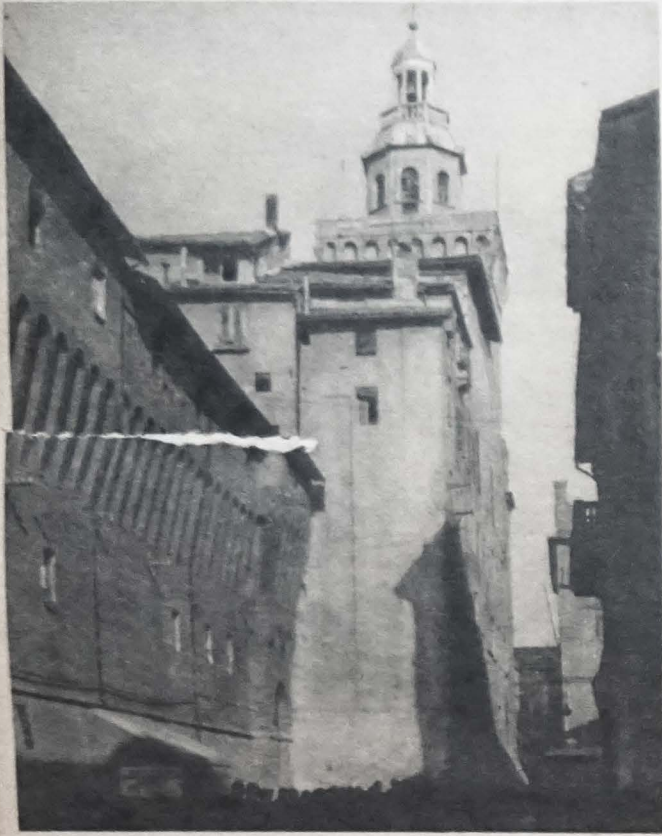
Pozostaniemy im wierni zawsze i w każdych okolicznościach.

J. M.



NASTĘPNY NUMER „PARADY” POŚWIĘCONY ZWYCIĘSTWU NAD NIEMCAMI, UKAŻE SIĘ W ZNACZNIE ZWIĘKSZONYM NAKŁADZIE I OBJĘTOŚCI

BOLOGNA LIBERATA



Piękno starej Bolonii



„Torre” Bolonii jest 99 metrów wysoka — widać z niej Alpy, Modenę i Terracę

Czołgi, wozy pancerne i kariery umajone zieleń. Pancerze, działa i karabiny maszynowe — wszystko spowite gałęziami. Nawet siatki na hełmach ludzie przyodzobili zieleń, raczej z fantazji, niż z konieczności maskowniczych. Ta maskarada wojenna na tle zakurzonych koron przydrożnych drzew i bezbrzyźnej wiosennej zieleni jest nawet miła dla oka. W kamuflażowych, prawie odświętnych strojach wygląda to wszystko bardzo pokojowo, raczej na weekend'owy wyjazd za miasto.

Łomocą o bruk gąsienice, nurzają się w piachu polnych ścieżyn lub moczą w brodach. Wybijają rytm ciągłego marsza, bezprześcannym obrotem mierzą przestrzeń. Z ciężko pracujących silników bije gorąco, z ludzkich ciał — pot. Wspólny wysiłek człowieka i maszyny na rzecz wojny przenosi ją coraz bardziej na północ. Zużywa się i psuje maszyna, męczy się i słabnie człowiek, tylko że człowiek posiada niepomniernie daleko posuniętą granicę wytrzymałości i stąd wojna rozciąga się na szereg lat.

Ciepłe, wiosenne dni. Wprawdzie niebo kaprysi niekiedy i chowa się za przestronne mglistych chmur, ale wnet rozjaśnia się pochocistym uśmiechem słońca, ogarniającego promienistym zalewem przybolognańską równinę. Kurz, goniący na oslep po drogach, nasycza powietrze pylnym obłokiem, przesłania niebo i ziemię, obieła modrzewie, morwy, jody i topole przydrożne. Jedynie zdala od dróg roślinność posiada właściwą barwę. Ruń pszeniczna faluje wszelkimi odmianami zieleni. Złocą się jaskry, biela rumianki; skromne, potulne stokrotki czepiają się skłłonów przepokopów odwadniająjących. Aksamentne kulki dmuchawców kołyszą się na wiotkich szypułkach, broniąc się wytrwale przed wiatrem. W trawie zakrzępy krwawe plamki — maki.

Wiosna włoska u stóp apenińskich masywów! Tym razem wiosna ofensywy ostatecznej. Rozgrywka, mobilizacja ludzkich sił i możliwości. Przyroda swoje czowiek swoje. Owszem, wiosna sprzyja operacjom, wzmagana nasilenie wojny. Jej piękno staje się niedostrzeżalną ubocznością, wobec warunków bojowych, które stwarza. Idzie broń pancerna, idą stare olbrzymy, które zmiatają przeciwnika. Biją działa, grzmia odpalenia i wybuchy. Orzą ziemię gąsienice i podskoki, bronne buldozery, jest siejba, jest płon. W grozie walki zatracą się urok wiosny.

Pałają chaty, właściwie ich resztki. Śwad spalenizny roznosi się po polach wraz z gryzącym dymem. Dogasające popieliszczą i zgliszczą zgorzałych chat. Zabite, rozdeptane, robocze krowy, które orały ziemię, leżą na tych skibach, używając je swym cielskiem. Odzie się obrócić — ruiny. Kupy cegieł, bełek, tynku, jakieś szturwiska — pogrobowce dawnych ludzkich gniazd.

Różne są ruiny. Są chaty z przestrzelonymi ścianami, zawalonymi dachami, lub urwanymi skrzydłami, są takie, które — przeołowione — jakby okaleczone frontonów, obnażają swe wnętrza poprzez wszystkie piętra. Coś z telmajerowskiego „Króla Andrzej”. Widać na różnych kondygnacjach poprzewracane, przysypane tynkiem meble, wiadra, malowidła ściennie, łózka, stoły, obdać świętych. W tych pokojach żyli do niedawna ludzie, odbierali doznana

wszelkiego rodzaju — rozciągłość kontrastów radości i smutku, rozkoszy i cierpienia, marzeń i rzeczywistości.

Tędy przechodziła broń pancerna, tu toczyła się walka o Bolonię. Wielka, jak okiem sięgnąć, równina — pobojowisko. Snuła się jeszcze dymy dogasających czołgów. Shermany. Niemieckie czołgi — jest ich trzykroć więcej. Leżą teraz w polu, czarne, okopane, jak wygaste piece — martwe, zarzute w ziemię, z niegroźnymi już lufami dział. Powalone kolosy, jak gdyby upokorzone w swej zarozumiałej potęgę, stanowią teraz kupę przepalonego żelastwa, rozdętego, poszarpanego wewnątrz eksplozjami amunicji i paliwa.

Przód jednego z Shermanów już stygnie, płomieniem tylko pali się tył. W przodzie, tuż przy siedzeniu kierowcy, okragły otwór w pancerniu wielkości dłoni, nad gąsienicą — drugi podobny otwór. We wnętrzu, wśród przepalonych i grubą warstwą sadzy pokrytych szczątków, w pozycji siedzącej trup kierowcy — węgiel jak po spalonym polanie, chropawy, popękany węgiel z zarysami czaszki i rąk. W potrzaskanych częściach węgla, przez szczeliny bieleją kości kregosłupa.

W polu leżą zabici Niemcy. Leżą w różnych pozach, tam i tak, jak padli. Obziady ich muchy, roje much mające tu sute żerowisko. Ktoś ponakrywał twarze zabitych papierem, celą, hełmami. Przy trupach rozsypane żołnierskie mienie. Menażki, manierki, papiery, list nie wysłany, bochenek chleba — czarnego niemieckiego chleba — zalany krwią. Tak, list nie będzie już wysłany, ani chleb zjedzony. Nie będzie Gretchen, ani Luischen czytała listów spadochroniarza i nie będzie już jak w pieśni: „Wir werden weiter marschieren, wen alles in Scherben zerschällt”. To przecież już finał, to przecież „in Scherben” sypią się Niemcy.

A jednak fanatycznie walczyli. Ukryci, zamaskowani w terenie, bili pojedynczymi strzałami w naszą tyraliere. Strzelcy wyborowi. Padł z ich ręki kilku naszych żołnierzy. Ukryci za wałami, we wnekach, z lunetą u oka, mieli doskonałe pole obserwacji. Wytrzebili ich dopiero nasi komandosi, którzy brawurowym natarciem dopadli ich stanowisk, odnajdowali ich pojedynczych, rozrzuconych w terenie. Mieli zdrowe nerwy, te Szwab! Już od skrzydła zachodzili ich nasze czołgi, odcinając im odwrót!

Padł tu śmiercią żołnierz i samarytania ksiądz Waculik, kapelan komandosów. Młody, dzielny człowiek, popularny wśród wojska. Poszedł do natarcia wraz z czołową grupą: „Może komus pomogę?”. Pomógł. Słyszac, że jest któryś ranny, doczołgał się doń i próbował odciągnąć do tyłu. Ratujać rannego, otrzymał od snipera postrzał w brzuch. Snipera udało się schwycić; był ranny — odesłano go do szpitala. Zemsta na pewno nie byłaby po myśli kapelana. Ksiądz zmarł po krótkich mękach. „Boże, miej litość nad moją duszą”, były ostatnie jego słowa.

Posuwające się naprzód oddziały odnalazły zwłoki ppor. Cz. i jednego strzelca, którzy dostali się do niewoli niemieckiej. Obaj zostali zamordowani w bestialski sposób. Zezwierzczenie — to określenie uwłaczające zwierzętom, raczej — rozniezczenie, zhilteryzowanie. Nie jest to w ostatniej ofensywie sporadyczny, a właśnie — notoryczny wypadek. Rozwydrzeni spadochroniarze i dywizji dorzynie nasi naszych rannych, pastwili się nad nimi, przeczinali im żyły, wyłamywali palce. W walce w pobliżu szosy Nr 9 oddziały nasze zdobyły dwa niemieckie SP. Jeden z nich zarył się w rowie przydrożnym; załoga ukryła się w chacie, skąd następnie została zabrana do niewoli przez Nowozelandczyków. Drugi wycyłowal się ciągle przed naszymi czołgami. Okrążana przez naszą piechotę,

obsługa wyskoczyła i zdołała zbiec, za wyjątkiem jednego, którego dosięgnęła sam amunicji do dział. „na chodzie”, z zapalniczkami, listy, pocztówki, gazety, ksiązki. Nasi kierowcy odprowadzili te działa, choć można było odwrócić je na nieprzyjaciela i przemówić z jego własnej broni.

„Prowadzą jeńców. Już nie buńczucznych, jak przed laty. Już nie jęczy narodu biletu, zmił cofającej się bez przerwy, znoszącej kłękę za kłęką. Jest w nich strach ściganego zwycięzcy, wyczerpanie, piętno niedostatku i tępa bezwola. Są to przeważnie młodzi ludzie, niektórzy nawet o dziecięcych twarzach. W zniszczonych ubraniach i płachtach maskowniczych, na piersiach mają wyszytego rozpiętego orła siedzącego na swastyce — emblemat spadochronowej dywizji.

Bije własna artyleria. Na horyzoncie obłoki rozplywającego się dymu. Spokojnie, ślizgając się na skrzydłach plynie na niebie „Kubus”. Mija go i lecą w stronę nieprzyjaciela eskadra lekkich bombowców. Znowu eksplozje i dymy. Szosą i ścieżynami podążają patrole. Idą także muły, te drepcą na ogonach, tępe, nieczułe, z przyrodzonym im stęchłym zapachem. Są obładowane amunicją i żywnością. Saperzy budują przeprawę. Mała Idzie szemrze potoczny prądem, dąsa się na krepujące siatki układane na jej żywirowatym łożysku. Odzie, na przyskach rozbitych chał namiętnie flirtują odpoczywający żołnierze.

Rano, w godzinę po zdobyciu Bolonii, przybywam do miasta na rozklekotanym wozie BBC. Tłumy, niezliczone tłumy wyległy na ulice. Przejechać nie można, tak ciasno od różnobarwnego mrowia ludzkiego. Wiwatowania, okrzyki, wrzaski. Lopocą chorągwie alianckie na wieżach S. Luca i S. Michele, powiewają na wszystkich bodaj domach, balkony udekorowane są dywanami, ściany — odezwami do ludności i sloganami. Entuzjazm nie do opisania. Uśmiechnięte, rozradzane twarze, żywcem gęsty i okrzyki, naręcza kwiatów. Evviva Polonia! Evviva nostri liberatori!

Od strony północnej wkraczają do miasta oddziały włoskie. Ci będą jeszcze większy entuzjazm. Są obwiezieni sztandarami włoskimi, nawet muły mają przypięte trójbarwne kokardy. Po mieście uwijają się partyzanci, dumni i radośni, jakby to oni byli bohaterami dnia. Jest wśród nich dużo młodych kobiet. Na jednym z wozów dostrzegam uroczą dziewczynę w granatowym kombinzie. Uśmiecha się perlistym dwurzędem zębów, wiatr rozwiewa jej przebogą, złotą czuprynę. W rękach trzyma rewolwer i granat niemiecki. Wyrażanie brawny w zdobytym już mieście jest co najmniej niepotrzebne. Ale podobno mi się ten partyzant. Z takim wrogiem spotkałbym się w każdym miejscu i czasie...

Na placach Vittorio Emanuele i del Nettuno oraz na ulicach stoją czołgi. Inne dudnią po bruku ulic, za nimi terkoczą kariery i wozy pancerne. Żołnierze nasi spoglądają z wysokości wozów na nas, uśmiechniętymi, oddają uśmie- rozentuzjazmowany tłum, oddają poważny i podziwiona, ale nie podziwiona, smutogólnie radości. Są raczej poważni, smutogólnie radości. Są raczej poważni, smutogólnie radości. Są raczej poważni, smutogólnie radości.

A my? My chyba pójdziemy dalej na północ. Będziemy dalej oswobadzać miasto i wieś, dalej toczyć krwawe boje, bo przecież wszystkie drogi prowadzą do Polski. A ta Polska jest coraz bliższa, coraz bliższa a tak niemiłosiernie daleka.

JAN KIELEWICZ



Polski sztandar na szczycie „Torre” w Bolonii



Największe wiadomości...

Nasz „wyborowy” poluje na niemieckiego „snipera”



Polskie oddziały pancerne na ulicach Bolonii

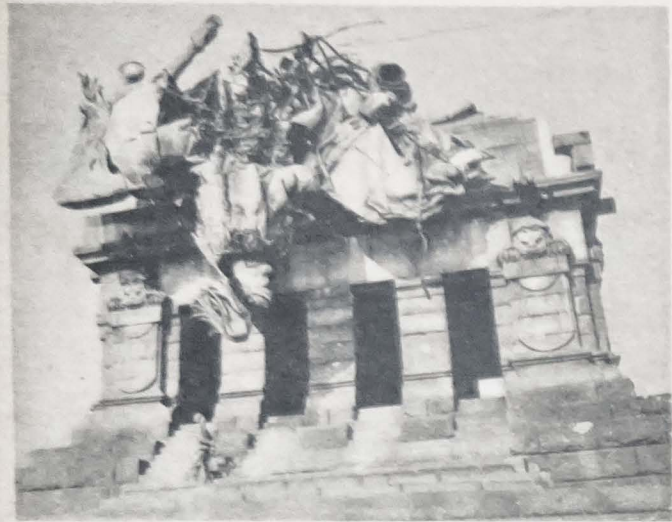


VENEDICI IN TUTTA ITALIA...
UOMINI!
Vi si attende TUTTI il 22 Aprile nella BASILICA-SANTUARIO DI S. ANTONIO di Ferrara per celebrare insieme la festa del

Polacy
Ci, którzy pierwsi oparli się tyranii w 1939 roku
Ci, którzy nad wszystko cenią swobodę człowieka i wolność narodu
Ci, którzy w walce o wolność i sprawiedliwość nie ustają
Ci, którzy w walce nie poją niewole
O WASZA I O NASZA WOLNOŚĆ... CZĘŚĆ NIEMOŻLIWEJ (YALI)

Italiani
I Polacchi vi portano la Libertà
I primi che nel 1939 si opposero alla Tirannia che sopra ogni cosa amano la Libertà dell'UOMO e della NAZIONE che nella lotta per la LIBERTÀ e la GIUSTIZIA non cesseranno mai
E che a costo di qualunque sacrificio rigetteranno la schiavitù!
Italiani
Combattiamo per la NOSTRA e VOSTRA LIBERTÀ!
W L'ITALIA IMMORTALE

Adolf Hitler Niemiec Niemców



Rozwalony pociskiem pomnik Wilhelma I w Koblenji ↓ Marsz ku przepaści

HITLER NIE ŻYJE. W tej oficjalnej wiadomości niemieckiej, która równie dobrze może być kłamstwem, jak i prawdą, kryje się wiele możliwości, nie wiadomo czy kiedykolwiek wyjaśnionych: umarł na wylew krwi w mózgu, został zabity, lub popełnił samobójstwo, a może żyje gdzieś w Niemczech, może uciekł za granicę. Nic jednak, żadna legenda, nie zmienia faktu zasadniczego: Hitler nie żyje. Żyje, być może, jako człowiek. Nie żyje już jako potęga, jako skoncentrowana wola państwa i narodu niemieckiego, jako źródło odwetu. Tego Hitlera nie ma! Zniknął, zostawiając Europę zniszczoną a Niemcy w upadku, jakiego nie znały ich dzieje, w upadku materialnym i moralnym. Podwójna była rola, odegrana przez Adolfa Hitlera na drodze, jaką pod jego przewodem Niemcy przebyły, na przestrzeni lat dwunastu — od 1933 do 1945 roku: twórcy nieznanej przedtem wielkości niemieckiej, a zarazem grabarza wszystkiego, co on sam i poprzednicy wybudowali między Renem a Odrą. Grabarz zwyciężył twórcę. Przepadła wielkość, cmentarzysko pozostało. Adolofowi-grabarzowi mimowolne świadectwo wystawił ostatni minister spraw zagranicznych Trzeciej Rzeszy, Schwerin von Krosick, stwierdzając w swym orędziu do narodu niemieckiego, że „nienawiść otacza dziś Niemcy na całym świecie”. Jest to nienawiść z bezmiernej

krzywdy wyrosła, w następnym pokoleniu na pewno przekazywana, nie tylko uczuciowo, ale i politycznie.

Hitlera nie ma! Jest on już nie tylko niemiecką historią śmierci, zniszczenia i nędzy, historią przeraźliwie jasną, która nie wymaga lat badań i wyjaśniania różnych niewiadomych. Wypisali ją Niemcy dość wyraźnie na skórze milionów ludzi, kończy ją teraz nie mniej wyraźnie oręż sojusznicy na samych Niemcach. Nam, grobkiem postawionym Hitlerowi i zbrodniom, które są ogólnie niemieckimi zbrodniami, powinien być proces, wielki proces Adolfa Hitlera. Publiczna lekcja dla tego wszystkiego, z czego mógł on wyrosnąć, i dla wszystkich, którzy stworzyli mu cieplarniane wprost warunki rozwoju. Będzie to lekcja niezbedna, do dziś bowiem, już po upadku Hitlera i Rzeszy, snują się duchy, wywołane kiedyś ręką Goebbelsa, i zaciemniające sprawy jasne, fakty przecież stwierdzone, więc także historię Führera.

Wbrew pozorom, świadomie stwarzanym, rodowód Hitlera jest prosty, nieskomplikowany, jest bardzo niemiecki. Nie można, nie trzeba go szukać — co ciągle jeszcze się spotyka — w „krzywdzie” Traktatu Wersalskiego, ani w upadku i demoralizacji republiki weimarskiej, czy też we własnej jego indywidualności, w ideologii partii narodowo-socjalistycznej. Podwójny jest klucz, którym otworzyć można zjawisko: Adolf Hitler. Jeden klucz, to instytucja niemieckiego sztabu generalnego, drugim jest polityka zwycięskich w tamtej wojnie państw zachodnich, W. Brytanii i Francji.

Hitler ruszył ze startu jako agent sztabu generalnego. W połowie dystansu, jeszcze przed dojściem do władzy, wsparty został potężnie przez swych mocodawców, przez przemysł, a później i junkrów. Nie byłoby Hitlera-Führera, gdyby nie sztab generalny, realizujący cel armii niemieckiej, wytyczone już w chwili podpisywania zawieszenia broni w 1918 roku. Nie byłoby Hitlera-Führera, gdyby nie teza socjalizującego generała Schleichera, że „istotne cele armii realizować można tylko za pomocą przywódcy ruchu najbardziej powszechnego i popularnego”. Istotnym celem była wojna. Był odwet!

Agent Adolf okazał się zdolniejszy, niż oczekiwano, i sprytniejszy. Przechytrzył swych protektorów, i wszystkich, którzy w demokratycznych wyborach roku 1932 dali mu najwięcej głosów, tych z prawa i lewa. Agent Adolf mógł się jednak odgrywać, mógł pokazywać kły i kasać, bo szedł w tym samym, co tamci kierunku, bo szedł szybko, od sukcesu do triumfu, bo nie tylko reprezentował, ale i realizował istotne siły, tęsknoty, pragnienia niemieckie. Dążenia przemysłowców Thyssena i Kruppa, pragnienia panów Piefke i Krause.

Adolf Hitler nie jest wyrazem jakiegoś nieszczęścia narodowego po pierwszej wojnie, ale instrumentem armii niemieckiej, sługą sztabu generalnego. Jest uczniem generała Ludendorffa, który zalecał — „nie tylko pobicie armii nieprzyjacielskiej, ale również zniszczenie całego narodu, z którym będziemy w wojnie”. Hitler jest zjawiskiem nie przypadkowym, a typowym dla narodu niemieckiego. Tylko dlatego mógł on zdobyć powszechne, nieznanie przedtem poparcie Niemców, tym jedynie wytłumaczyć można ich niesłychane masowe okrucieństwa, których nie podobna by spowodować zwykłymi rozkazami. I również dlatego nie było nigdy mowy o poważnym ruchu podziemnym w Niemczech, ani przedtem, ani nawet teraz, w przededniu klęski. Pewność zwycięstwa pozwoliła

Hitlerowi odrzucić wszelkie pozory. I tylko taka jest różnica, dzieląca Niemcy Adolfa od Niemiec Wilhelma, różnica zapewne ważna, ale nie istotna.

Hitler zbudził prawdziwe Niemcy. Poszły za nim bez oporu, z entuzjazmem dla zaczynającego się realizować życia panów. Poszli za nim wszyscy, zwłaszcza młodzi, ale również starsi. Rudolf Hess wyraził najlepiej ten katechizm niemiecki w słowach Hitlerowi dedykowanych: „cokolwiek on robi, jest słuszne, konieczne, jest skuteczne. Führer ma najwidoczniej błogosławieństwo boskie”.

Źródłem powołania Hitlera wewnątrz Niemiec były także ogromne sukcesy zewnętrzne, osiągnięte drogą pokojową, bez rozlewu krwi. Polityka wielkich demokracji zachodnich, karmiąca Niemcy cudzym kosztem, a siebie złudzeniami, rozdała zjawisko, któremu na imię „Adolf Hitler”, do niebezpiecznych rozmiarów. Wielka jest cena, jaką trzeba było za to zapłacić, za tę krótkowzroczność, egoizm, za niezrozumienie Europy, niepodzielności jej pokoju i bezpieczeństwa. Rosnąc stopniowo apetyt, maskowany dobieranymi okolicznościami, pięknymi słowami, nazwanymi realizmem, a chowane pod suknem dyplomatycznym różne nieprzyjemne sprawy — jedynie szowinizmem partyjnym. W istocie Hitler, który miał wszelkie szanse, by być pierwszym prawdziwym realistą niemieckim — jego właśnie stać na to było, tak doskonale grał na duszach swego narodu — był Niemcem Niemców, szaleńcem imperialistów, największym z doktrynerów. Zgubiła go w tej wojnie własna doktryna polityczna, dyktująca plany sztabowi generalnemu.

Mussolini został rozstrzelany przez powstańców włoskich, zginął z rąk rodaków, którzy sami wydali wyrok śmierci.

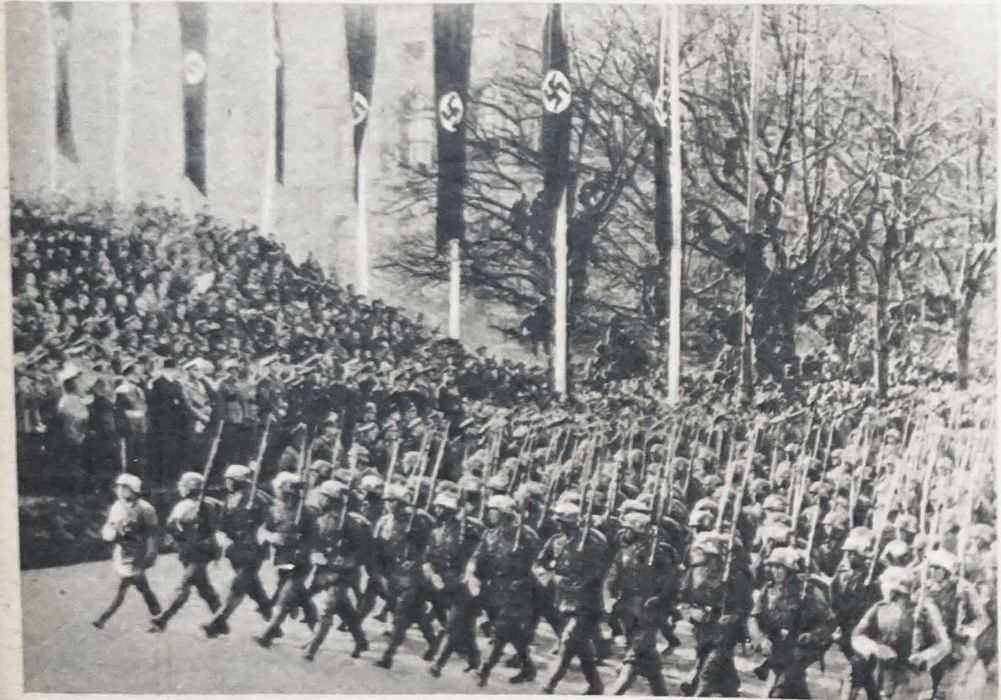
Taka śmierć jest w pewnym stopniu symboliczna. Dyktator bowiem właski głębokiego oparcia, jak Hitler wśród Niemców, nie zdołał go też zmienić, ani bezwzględnie poparcia, jakie w Niemczech towarzyszyło wszelkim posunięciom Führera. „Ja jestem Opatrznością” — roku zamach generalny, usiłujących ratować Niemcy, nieosiągnięte jednak było postawienie Hitlera przed niemieckim plutonem egzekucyjnym. Przeciw tej „Opatrzności” nie mogło być jakiegokolwiek powstania.

Nie ma dziś Hitlera w Niemczech, ale świeży jego ślad prowadzi do każdego domu, do każdej rodziny niemieckiej. Po tym tropie idąc, zrozumiemy dopiero pełnię zbudzonej przez Führera właściwej duszy niemieckiej, popiemy pozostałemu przez niego upadek moralny narodu, który wychowywany przez wiele lat w kulcie siły, brutalności i gwałtu, i powołany do panowania nad innymi, teraz — uderzony własną bronią — nie wykazuje spodziewanego oporu, wypiera się swą „opatrnością” i popełnionych zbrodni; wypiera się wszystkiego, i niemal płaszczy się. Nawet Goering opowiada dzisiaj bajeczki, oskarżające Führera.

— Adolf Hitler?... Dieser Lump! — odpowiada zapytywana dziś ludność cywilna w Niemczech.
Odpowiedź jest na poziomie tego cmentarzyska moralnego, jakie dzięki Hitlerowi i samemu Niemcom zajęto miejsce nie istniejącego dziś państwa niemieckiego. Jest to wyrok Niemców na siebie samych. Ten szubrawiec — „Dieser Lump” był przecież Niemcem. Wybrany Niemcem.



Dobre towarzystwo: Hindenburg, jego syn, Hitler, Goering

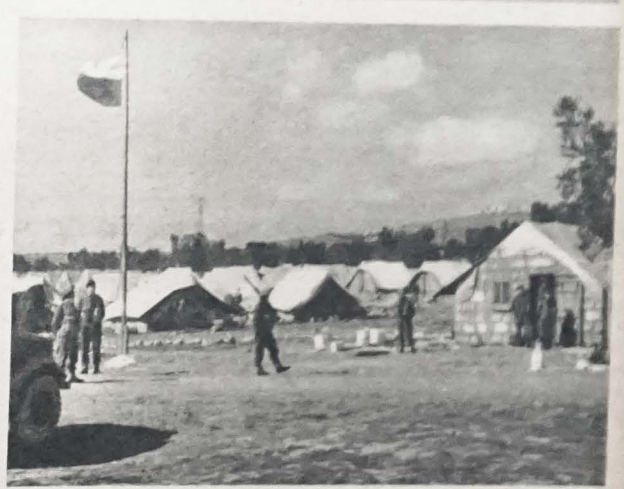


Tak witali kiedyś swego Fuehrera, o którym mówią dzisiaj: „ten szubrawiec” Oddziały niemieckie defilują przed Hitlerem, podczas kampanii wrześniowej w Polsce



Żołnierz polski z r. 1939 — wyzwolony spod okupacji niemieckiej we Francji, „fałuje” pierwszy obiad polski

**PIERWSZY
DZIEŃ
NA
WOLNOŚCI**



Polacy — jeńcy z armii niemieckiej w obozie polskim

Na wolności — wśród swoich



Doczekali się pięknego dnia



Dancerniaczy Dierwszej Dywizji

Trzeba pożyć trochę wśród żołnierzy Polskiej 1. Dywizji Pancerniej i porozmawiać z nimi, by zdać sobie sprawę z jakich elementów ludzkich dywizja ta jest złożona. Są to pielgrzymi wolności, którzy w walce o wolność Kraju przewiodli nieraz pół świata, bili się z tej i tamtej strony barykady, przeżyli najbardziej nieprawdopodobne przygody.

Oto kilka typów oficerów, podoficerów i szeregowych tej dywizji, którzy nie przeżyli więcej niż imi, lecz być może potrafia lepiej opowiadać i dłaższego relacje ich wypadki plastycznie. Takich, jak oni są w dywizji tysiące. Pisano już wiele o bojach dywizji, zbyt mało jednak o jej ludziach.

Porucznik O., z dragonów, brał udział w bitwach o Francję, w 1940 roku. Mniej szczęśliwy od wielu kolegów z brygady, nie zdołał dostać się do Anglii. Po paru miesiącach przeszedł po raz pierwszy Pireneje, by przez Hiszpanię i Gibraltar, dotrzeć do wymarzonego celu. Schwytany przez Hiszpanów, dostaje się do więzienia. Ucieka zeń i wraca do Francji, gdzie zamyka go Gestapo. Ucieka i stąd — znów do Hiszpanii. Aresztowany ponownie i zwolniony, wkrótce wpada raz jeszcze w ręce policji hiszpańskiej. Znowu więzienie i odstąpienie do Francji, gdzie po raz drugi otacza go opieka Gestapo. Uratowany jakimś cudownym sposobem, przedostaje się do Hiszpanii i po raz trzeci zostaje schwytyany, wydostaje się raz jeszcze i wraca do Francji, by przejść Pireneje po raz czwarty i dobrać wreszcie do Gibraltaru, a stąd do Anglii.

Jan R., dragon z tego samego pułku, pochodzi z Polski zachodniej. Wcielony siłą do Wehrmachtu, brał udział w bitwie o Stalingrad. Ranny, bił się następnie, wciąż w mundurze niemieckim, w Tunisie, na Sycylii i we Włoszech. Podczas bitwy o Salerno udało mu się przedostać do Sprzymierzonych. Przewieziony do Anglii, zaciągnął się tam do naszych szeregów. Wraz z Dywizją Pancerną wylądował w Normandii i wziął udział w kampanii francuskiej, belgijskiej i holenderskiej.

St. dragon Franciszek K. został również wzięty siłą do armii niemieckiej. Bił się pod Stalingradem i pod Charkowem. Przeszedł do szeregów sojuszników w Normandii. St. dragon Kazimierz B. wcielony do niemieckiej marynarki wojennej, uczestniczył w wielu wyprawach korsar-

skich, uciekając przy pierwszej dogodnej sposobności. Dragon Władysław K. przybył do naszej armii z Argentyny, gdzie trzynastę lat pracował jako elektrotechnik na wielkiej haciendzie. Do Anglii przybył w ramach dwunastego z rządu transportu polskich ochotników z Argentyny. Przyjaciel jego, sierż. Michał C. przeżył Rosję, Iran, Irak, Palestynę, Egipt i całą tak dobrze znaną żołnierzom 2 Korpusu trasę. Takich, jak on, jest w dywizji bardzo wielu. Strzelec Henryk T. ma 19 lat i jest wychowankiem Szkoły Junaków w Palestynie.

Porucznik Andrzej M. z Warszawy (pułk strzelców konnych) przesłużył trzynaście lat w Legii Cudzoziemskiej. W 1940 roku bił się we Francji. Wzięty do niewoli przez Niemców, uciekł w 1943 r. Po niezliczonych przygodach zdołał dostać się do Anglii. Wcielony do Dywizji Pancerniej, odbył w jej szeregach kampanię 1944—45 roku, odznaczony został Virtuti Militari i dwukrotnie Krzyżem Walecznych. Podczas bitwy nad Mozą stracił jedno oko. Po nałożeniu powierzonego opatrunku, nie dał się ewakuować i natychmiast powrócił do swego szwadronu, by „przekonać się”, czy może, z jednym okiem, bić się nadal.

Strzelec Józef M., z tego samego pułku, aresztowany został w Maroku przez policję Vichy. Umieszczono go w obozie koncentracyjnym w Saïda, skąd uciekł, lecz został schwytyany. Przewieziono go na Saharę, gdzie przez rok pracował przy budowie kolei transsaharyjskiej. Sierżant Jan S., z tego pułku ułanów, padł również ofiarą wchystowskich szpicli. Aresztowany w Fezie, wtrącony został do więzienia w Meknes. Przewieziony do obozu w Kasbah Tađla, zachorował tam ciężko i umieszczony został w szpitalu. Uciekł stamtąd, lecz schwytyano go i zesłano do Colomb-Bechar (Sahara), gdzie omal nie zakatowano go na śmierć przy budowie kolei transsaharyjskiej. Zwolniony został po wylądowaniu Amerykanów.

Historji takich są tysiące. Są jednak w dywizji inne jeszcze „okazy”, nie polskie. Spotkałem więc w dywizji żonę słynnego tenora wiedeńskiego, Ryszarda Taubera. Nosi battle-dress, naszytki z napisem „Poland”, znak dywizji (skrzydła husarskie) i czarny beret, w którym jest jej bardzo do twarzy. Pani Tauber zajmuję się naszymi rannymi w szpitalach. Polski mundur nosi też młodzieńki Irlandczyk,



Jeńcy niemieccy, jest ich coraz więcej...



Uciekają z płonących domów

Herbert Au., bliski krewny słynnego lorda Carnarvon'a (tego od Tuthankhamena) i lorda Cranborne. Przez 9 miesięcy służył jako szeregowiec w jednym z pułków ułanów, gdzie przeszedł kurs spadochronowy, obecnie jest podporucznikiem. W dywizji jest też młoda Belgijka, Simone B., pracująca w Polskiej YMCA. Skąd się tutaj wzięła?

Było to jesienią r. ub. pod Roulers, w pełnym ogniu bitwy. Gdy Dywizja zbliżała się do miasta, podjechały nagle na rowerach dwie młode dziewczyny. Przedstawiły się generałowi Maczkowi, jako Simone B. i jej siostra, obie z Roulers i oświadczyły, że chcą ostrzec polskich żołnierzy, iż w mieście są jeszcze dość poważne siły niemieckie. Generał Maczek zrazu zdziwiony, roześmiał się i odparł żartem: „Wszystko to jest bardzo piękne i ciekawe. Dla mnie jednak najważniejsze byłoby dowiedzieć się dokładnie, jak jest dyspozycja niemiecka na głównej ulicy Roulers”.

Bez słowa, Simone B. wsiała na rower, pod ogniem nieprzyjaciela ruszyła z powrotem ku miastu. Po niespełna godzinie zjawiła się znowu, przywożąc szczegółowe wiadomości o rozmieszczeniu Niemców. Gdy generał Maczek zaczął jej dziękować, odparła krótko: „Panie generale, nie uczyniłam tego dla pana, lecz dla Belgii”.

W parę dni później, w Roulers, w obecności tysięcy, szalejących z entuzjazmu Belgów, dowódca 1. Dywizji Pancerniej przypiął do piersi Simony B. polski Krzyż Walecznych. Odtąd młoda Belgijka nie rozstała się już z Dywizją.

Oto jaka jest 1. Polska Dywizja Pancerna. Nic już chyba nie potrafisz zdziwić, ani wrzusić tych ludzi. Nic, poza jedną tylko rzecz: — gdyby ujrzał mogli znówu Polskę. Po to walczą i ginie, z tą myślą przewiodli pół świata. Ale o tym nie mówią prawie nigdy. Zaciskają zęby i walczą.

I walczyć będą do końca.

Korespondencja
ROMAN AJANS
Wielka „Parady”



Katedra w Bredzie

Nareszcie! Po wielu trudnościach jesteśmy w drodze do Niemiec. Jest nas czterech, w prasowym jeep'ie: redaktor „Dziennika Żołnierza” 1. Dywizji Pancerniej, ppor. W., „naczelnny dyrektor” drukarni tego szacownego czasopisma (czytaj: zecer), kierownca redakcyjny i ja. Chcemy dobrać jutro do Zagłębia Ruhry, gdzie bitwa jeszcze się toczy. Jedziemy drogą, wśród lasu. Kierunek: Klewe, wej duszy. Dopiero tablica uwiadomienia nas, że jesteśmy w Rzeszy. Czytamy: „This is Germany, You are warned”. Jedziemy wciąż przez gęsty las. Wreszcie dojeżdżamy do Klewe. Niegdyś było to spore miasto, dziś nie pozostało zeń prawie nic. Wzdłuż pustych ulic stoją poczemiatte szkielety spalonych domów. Porwisty wiatr podnosi tumany kurzu i jakieś pomięte papiery. Podnoszę okólnik partyjny ze swastyką i „Heil Hitler”. Z Klewe jedziemy w kierunku Renu. Wzdłuż trasy, bez przerwy, posuwa się w stronę rzeki nieprzerwana kolumna czołgów, ciężarówek, dział i amfibii. W Kalkar, kilka domów ocalało i widać, po



↓ Artylerzysta 1. Dywizji pisze list na linii



↓ odpalić...

Na gruzach Zagłębia Ruhry

raz pierwszy, trochę niemieckich cywilów na ulicach. Niemcy robią takie wrażenie, jak gdyby chcieli zająć swymi osobami jakąś inną rolę i najmniej rzucić się w oczy. Miasto jest pełne żołnierzy, tworzą już swe biuro i urzędują wśród ruin. Zaraz za Kalkar przejeżdżamy Ren na moście „Waterloo”. Wyjeżdżamy na drugi brzeg w pobliżu Rees. Tutaj był północny kraniec odcinka, na którym pierwszy kraniec odcinka, na którym doszczętnie zburzone. Poprzec ulice, zalane gruzami i dobytek mieszkańców, sumą kolumny czołgów i dział. Kobiety, starcy i dzieci, przylgają im się ze zdumieniem. „Nigdy nie spodziewaliśmy się jedna z kobiet.

Pod pół godzinie jesteśmy w Wesel nad Renem, centralnym punkcie bitwy, jaką Montgomery stoczył musiał o przejęcie rzeki. Wesel jeszcze płonie. Wiatry przerzucają płomień z jednego budynku na drugi. Nikt nie próbuje gasić tych pożarów. Tuż przed nami czteropiętrowy dom, narozryw płonie jak lucyfero. Na trzecim piętrze, w pokojach, które dotkniętym widać przez dziurę po zwalonej ścianie, łóżka, dywany, firanki, stoły i inne meble palą się jasnym płomieniem. Po chwili to, co pozostało jeszcze z domu, wali się w gruzy. Ze wszystkich stron słychać detonacje. To saperzy wysadzają w powietrze ruiny budynków.

Spędzamy noc w szpitalu, ad hoc urządzonym przez władze wojskowe i pustym jeszcze. Dom trzyma się nieźle, lecz brak w nim sżyb i ram okiennych, o światło i wodzie ani na chwilę, na szosie, czołgi przejeżdżały z piekielnym hałasem. Dokola, wśród mroku nocy, III Rzesza walała się w gruzy, pośród prawdziwego Zmierzchu Bogów.

Nazajutro o świcie ruszamy dalej w kierunku Zagłębia Ruhry, które wprawdzie jest otoczone przez Sprzymierzonych, jednak wielkie jego ośrodki, Essen, Dortmund, Duisburg, pozostają jeszcze w rękach Niemców. Przejeżdżamy przez Dinslaken i Hamburg. Wszędzie te same straszliwe obrazy zniszczenia. Nawet w najmniejszych miasteczkach, na dziesięć domostw, dziewięć jest zburzonych. Bardzo rzadko spotyka się człowieka. Oszałatałe ze strachu bydło błąka się po polach bez żadnego nadzoru. Na ścianach domów widać jeszcze odezwy partii narodowo-socjalistycznej, wywołujące mieszkańców by nieśli krajowi pomoc i zachowali żelazną dyscyplinę. Przyszłość Rzeszy zależy od waszego zachowania się”!

Wszedłem do piwnicy, w której gnieździło się do miesięcy siedemnaście osób. Nie mogłem powstrzymać się i rzekłem do nich: „Oto wasz Lebensraum”!

„Wir haben das nicht gewollt” (mamy nie chcieli tego), odparła mi jakaś Niemka. Pewnie, że nie chcieli... Takiej wojny, jak ta, którą tu widać dokola, nie chcieli na pewno. W 1940 roku zapowiadało się inaczej...

„Hund Deutscher Maedel”, wimi stawali się niezłocznie przed władzami sojusznymi. Kary, przewidziane za wykroczenia są surowe. Gromadka Niemców, mężczyźni i kobiet, skupiła się przed tablicą i czyta święta rozkazy. Jeden z nich, czyta święta rozkazy adrese. Milczą. Twarze ich nie mają żadnego wyrazu. Nikt nie mówi, każdy boi się drugiego. Jak nas informuje atterykański „olier polityczny” w Hamburgu pozostało około 30 tysięcy osób z ludności, wynoszącej normalnie 80 tysięcy.

A potem bił na naszej drodze Ruhrort i Duisburg. Jak je opisać?... Mielimy przed oczyma słowa Apokalipsy. W najściślejszym tego słowa znaczeniu, Duisburg, ten największy europejski port śródlądowy, nie istnieje. Przez godzinę jeździliśmy po jego labiryncyjnych dzielnicach w poszukiwaniu choćby jednego całego domu lub fabryki. Nie znaleźliśmy! Rozciągał się przed nami straszliwy cmentarz, porwany kraterami od wybuchów bomb i pocisków.

Pośród tragicznych rumowisk spotyka się czasem ludzi, Niemców. Nie są oni liczni, lecz istnieją, pomimo wszystko. Gdzie żyją? W piwnicach. Przywykli zresztą już tak bardzo do tego trybu życia, że trudno byłoby im zapewnić warunki, o których słyszą w innych warunkach. Rozmawiałem z Niemką, która wraz z całą rodziną zamieszkuje piwnicę od ośmiu miesięcy. Nie są to już ludzie cywilizowani, a raczej troglodyty. Niekiedy z nich chodzą po ulicach jak błądźli i czynią takie wrażenie, jak gdyby po wielu miesiącach całkowitego mroku wypuszczono ich po raz pierwszy na światło dzienne. Nie potrafią odpowiedzieć na najprostsze pytania, zadawane po niemiecku. Imi za to mówią i zalewają słuchacza potokami słów. Już teraz robią ze siebie „dobrych Niemców”. Oczywiście, nikt nigdy nie należał do partii. Nie ma w ogóle „nich” między Niemcami, którzy siedzą w swych siedzibach. „Hitlera nazywają wszyscy, „Dieser Lump...” (ten szubrawiec). Żaden nigdy nie cieszył się z dawniejszych zwycięstw niemieckich... Każdy ma za to w kieszeni długą listę jeńców wojennych i deportowanych, którym wysławił „cenne usługi”, a nieraz „uratował życie”. Czytają imiona i nazwiska tych „świadców odciążających”, ich narodowość i stopnie wojskowe. Ale gdy tylko wejść do zburzonych domów i rozejrzeć się po mieszkaniach, gdzie coś niecoś ocalało jeszcze, wszędzie widać pełno portretów i biustów „Führera”, dyplomów i odznak partyjnych na ścianach, książki i broszur narodowo-socjalistycznych w bibliotekach. Zawsze te same, odwieczne Niemcy.

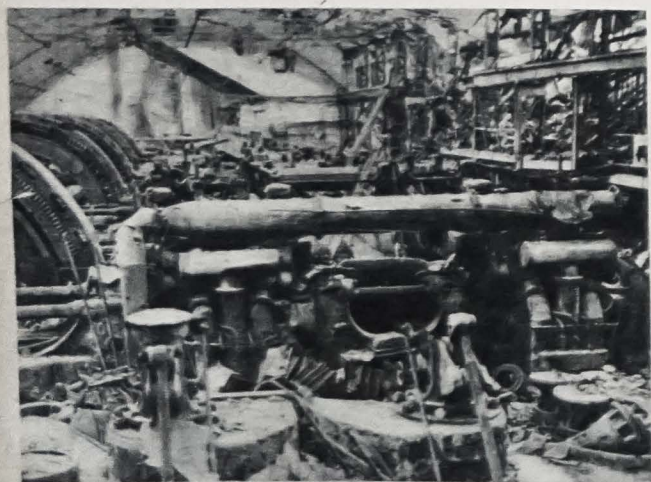
Wszedłem do piwnicy, w której gnieździło się do miesięcy siedemnaście osób. Nie mogłem powstrzymać się i rzekłem do nich: „Oto wasz Lebensraum”!

„Wir haben das nicht gewollt” (mamy nie chcieli tego), odparła mi jakaś Niemka. Pewnie, że nie chcieli... Takiej wojny, jak ta, którą tu widać dokola, nie chcieli na pewno. W 1940 roku zapowiadało się inaczej...

Chwila spokoju po walce



Zbombardowana fabryka w Zagłębiu Ruhry



NA LINII 2 KORPUSU

Napisał A. G. POLLARD

Kapitan A. G. Pollard towarzyszył oddziałom 2 Korpusu w ostatniej fazie ofensywy Sprzymierzonych we Włoszech

Dowódca 8 Armii przesłał Dowódcy 2 Korpusu wyrazy uznania za wybitny udział Polaków w ostatniej ofensywie w Italii.

Nie po raz pierwszy walki oddziałów polskich spotykają się zarówno z uznaniem, jak i z podziwem dowódców wojsk sprzymierzonych, tym razem jednak pochwała przypadła w udziale m. in. nowo stworzonej Grupie „RUD” i fakt ten ma swoją odrębną wymowę.

Grupa „RUD”, nazwana tak od nazwiska swego dowódcy, została stworzona z połączenia kilku brygad, wydzielonych z dywizji Karpackiej i Kresowej.

Specjalny charakter nadaje temu oddziałowi fakt, że większość jego żołnierzy składa się z jeńców wojennych, młodych chłopców, którzy stosunkowo do

niedawna jeszcze stanowili najbardziej niebezpieczny, bo służący pod przymusem, element armii niemieckiej. Uwolnieni, przeszli odpowiednie przeszkolenie wojskowe i jakkolwiek nie leżało w planach dowództwa użycie ich w akcji, warunki tak się ułożyły, że oddział wszedł do walki w okresie zdobywania Bolonii. Chęć zemsty i odwetu za cierpienia, doznane pod okupacją i za konieczność noszenia zniechęcającego munduru żołnierzy niemieckich, była silnym bodźcem do walki, w wyniku której zdobyli trzy miasta Castel Bolognese, Imola i San Pietro okryło sławą żołnierzy Grupy „RUD”.

W kwietniu we Włoszech nie jest już chłodno, dla zmęczonych żołnierzy do-



Polscy buidozer w czasie walk 2 Korpusu o Bolonię



Tacy jak ten oswobodzili Bolonię!

Nasz strzelec wyborowy — na stanowisku



mem staje się każde m. p., przeznaczone na krótki nawet odpoczynek, ale w akcji nieraz bywa głodno, tymbardziej, że oczyszczanie okolic z pozostałości grup żołnierzy niemieckich odbywa się szybko i bez trwania czasu.

Wyjątkowo miało zatem przygoda spotkała patrol piechoty na odcinku polskim, przetrząsający wieś w poszukiwaniu żołnierzy niemieckich z rozbitego poprzednio oddziału. Patrol zbliżył się do domu, w którym według informacji tkwiła jeszcze niemiecka załoga. Po wymianie powitalnych strzałów z karabinów maszynowych, Polacy wtargnęli do wnętrza i w walce wręcz obezwładnili Niemców, biorąc ich wszystkich do niewoli.

Nieprzewidzianym dalszym punktem akcji okazał się zastawiony na stole obiad, przygotowany przez Niemców i nie zjedzony. Patrol ruszył na tę pozycję z niemiecką brawurą i zdobył ją, jako zasłużoną nagrodę za trudy. Miejmy nadzieję, że podział „łupów” był sprawiedliwy.

Niemcy są narodem morderców i bandytów, i chociaż zwyciężeni, szybko przestają się w potulnych, zdawałoby się zadowolonych z losu jeńców, tej cechy zwierzęcego okrucieństwa nie pozbywają się nigdy.

Nowym przykładem tego znanego faktu było bestialskie potraktowanie dwóch Polaków, żołnierzy Dywizji Kresowej, wziętych do niewoli pod San Lorenzo. Ciało ich, strasznie zmasakrowane, znaleziono następnego dnia. Twarze wykazywały ślady bicia pałkami, zamordowano ich strzałami w tył głowy.

Polacy, którzy tego samego dnia wzięli licznych jeńców i którzy traktują ich według przepisów prawa międzynarodowego, zostawiają zemstę za zamordowanych kolegów do czasu walki w otwartym polu. Pastwić się nad bezbronnymi umie tylko żołnierz niemiecki.

Stojmy przed Imolą. Do miasta nie więcej jak trzy kilometry. Miasto otwarte. Tak przynajmniej twierdzą wrzęci jeńcy. Oszczędną je więc i lotnictwo i artyleria. Będziemy tam jeszcze dziś, najpóźniej, w nocy.

„Miasto otwarte” — twierdzi również wzięły własnie do niewoli spadochromiarz. Ma może z 18 lat. Badamy go w szpice, bo na podwórko sięgają strzały snajperów, a nasi „wyborowi” ani rusz nie mogą ich wytopić w bujnej zieleni. „Dowództwo naszych oddziałów? Przyszkoody przeciwroglowe? Pola minowe?” „Miasto otwarte. Żadnych umocnień. Nie będzie bronił...”

W tej chwili z kierunku tego „otwartego miasta” dostajemy silny ogień z „Espi”. Jeniec tuli się do ściany i całkiem innym głosem bełkoce, że... nie wie... nic...

W Imoli nie byliśmy tego wieczoru. Ani nocą. Zdobyto ją dopiero wieczorem następnego i to manewrem oskrzydającym.

Przed wojną liczyło 40 tysięcy mieszkańców. Teraz ponad 60. Wiadomo — uciekinierzy z okolicznych terenów. Dziwnie wygląda Imola. Niemcy z centrum miasta zrobili coś w rodzaju ghetta. Zamknęli wyloty ulic wałami, drutem kolczastym i minami. Przedmieścia natomiast tego „otwartego miasta” zamieniono w prawdziwe forty. Głębokie rowy przeciwroglowe, zapory z szyn kolejowych w cztery rzędy wkopanych, strzelnice broni maszynowej wykute w murach różnych budynków, stanowiska „offenrohrów”... Ogromny szkolny budynek — koszar niemieckie — przerobiono w cytadelę. Elektrownię i wodociąg wysadzili Niemcy jeszcze we wrześniu! Ciężkie życie musiało mieć „ghetto” Imoli! Teraz jednak wróg wołał wycofać się, unikając odcięcia.

Już o świcie następnego dnia ożywia się miasto. Pełne ulice. Witają kwiatami i okrzykami na cześć „liberatori”. Łazik generała R. nie może przepchać się przez rozentuzjasmowany tłum, zasypany kwiatami, oblepiony signorinami i bambinami. Na murach miasta pojawiają się plakaty powitalne: „Niech żyją oswobodziciele”, „Niech żyje wojsko polskie”, „Niech żyje Polska niepodległa”, „Niech żyje Naczelny Wódz, gen. Anders”, „Niech żyje wolna Italia”, „Niech żyją alianci”, „Niech żyją partyzanci”... Od partyzantów zaroiło się w mieście. Z zaciekawieniem przyglądamy się im, bo jakoś na froncie nie widzieliśmy ich. Chodzą obwieszni bronią, wiwatują i wyglądają bardzo bojowo.

Obok plakatów powitalnych i flag wło-

„OTWARTE MIASTO”

Polscy saper rozbraja miny



skich, angielskich, amerykańskich i polskich, wiszą jeszcze plakaty ogłoszenia niemieckie i faszystowskie. „Liberatori” przedstawili się tu jako murzyńcy z oblicznie wysiniętymi wargami, kalmuki o płaskich mongolskich twarzach, dręczący jednak wynowymi dla ludności miejscowej musieli być rozlepkane gęsto lakoniczne powiadomienia: „Za wzięcie drzewa z tego budynku — kara śmierci!”

„Za uśmiercenie przejeżdżającej linii frontowej — kara śmierci!”

„Za wejście w niedozwolony rejon — kara śmierci!”

„Za słuchanie audycji radiowych wroga — kara śmierci!”

„Za... za wiele, wiele rzeczy — jedyna kara — kara śmierci.”

I wymowne uzupełnienie: „nie liczy na litość!”

Litości rzeczywiście nie było. Natomiaś było bezmyślnie bestialstwo. Bogu ducha winnego starego dozorcę pustego więzienia, wraz z całą rodziną, zapędzili Niemcy, przed opuszczeniem miasta, w narozny budynek i kazali czekać. Wykroczył innym wyjściem. Po chwili budynek został wyadżony.

Pod miastem wisiał, powieszona na drucie telefonicznym, kobieta. Podobno broniła swojej krowy... Podobno... trzęsła — kto może powiedzieć, za co stosuje wróg tę „jedyną” karę? Uprowadził tylko, że na litość nie należy liczyć!

Na murze na wprost wysadzzonego budynku ślady kul i plamy krwi. Obok studnia z zawaloną betonową kopułką. Z tej studni, przy mnie, wyciągnięto 18 zmasakrowanych zwłok mężczyzn. Cytyle. Może ich było więcej. Miałem już dość i nie czekałem na koniec poszukiwań. Tak zmasakrowanych zwłok jeszcze nie widziałem. Musiano torturować i dostrzelić serią „Schmeisera”, tuż przed wyjściem z tego „otwartego” miasta, trupy bowiem są jeszcze zupełnie świeże.

Jaki był powód tej masakry? Ktoż to wie? Rozpoznać zwłoki trudno. Dokumenty kaci zniszczyli. Wyszadzając kopułkę nad studnią chcieli ukryć ślady zbrodni.

Może padło na nich podejrzenie, że chcą przejść linię frontu, może słuchali radia, może po prostu wzięli drzewo z tego opuszczonego budynku, może wyszli z „ghetta”, miasta bez wody, właśnie po wodę do tej studni...

Wszystko mogło być, a dwujęzyczne lakoniczne ogłoszenia powiadają krótko: „kara śmierci i niech nikt nie liczy na litość!”

W „otwartym mieście” Imoli...
Wiktor Ostrowski

Sanitariusze na karjerze w czasie walk o Bolonię



Afisz niemiecki grozący karą śmierci za zabranie kawałka drzewa



Otwory na niemieckie ckm'y w jednym z domów „otwartego miasta”



Poświęcenie obrazu Matki Boskiej Piekarskiej

Obóz taki sam, jak dziesiątki innych na pustyniach. Długie szeregi namiotów, piasek i niełotliwe słońce. Te same mundury, noszone może nieco inaczej, z kawalerskim szykiem i z wadiacko przekrzywione berety, lecz ludzie jacyś inni, odrębni od dotychczas spotykanych. Może nieco szorstcy, matowaci z mocno zacziarniałymi ustami. Co tu dużo opisywać, poprostu prawdziwe śląskie „pierony”, silnie przywiązani do tak drogiej sercu każdego Polaka tradycji religijnej.

Niedawno w m. p. Pułku Ułanów Śląskich odbyła się uroczystość poświęcenia obrazu Matki Boskiej Piekarskiej. Obraz ufundowany przez itanów, a wykonany przez prof. St. Ligonia, jest wierną kopią oryginału, znajdującego się w Piekarach. Dnia 25 kwietnia br. o godz. 20.15 odbył się uroczysty apel, połączony z odsłonięciem obrazu. Dowódca pułku, ptk. S., w krótkim przemówieniu podkreślił nierozdzielne więzy łączące Ziemię Śląską z Matczym, wskazał na głęboki kult,

jaki żywią Ślązacy do Matki Boskiej Piekarskiej oraz dał wyraz przekonaniu, że Pułk Ułanów Śląskich wróci do naprawy wolnej, niepodległej Polski, gdzie odprawi dziękczynne modły przed cudownym obrazem w Piekarach. Następnego dnia o godz. 9 rano, po odebraniu przez dowódcę Brygady, ptk. B., raportu od dowódcy Pułku Ułanów Śląskich ptk. S., odbyła się uroczystość poświęcenia obrazu Matki Boskiej Piekarskiej. Poświęcenia dokonał ks. Dziekan Brandys w asyście duchowieństwa. Aktowi poświęcenia asystowały oddziały honorowe Wlkp. Brygady Pancerniej, Pułku Ułanów i Pułku Huzarów.

Pułk Ułanów Śląskich składa się prawie wyłącznie ze Ślązaków, którzy różnymi drogami dotarli do Armii Polskiej. Dużą część przeszła piekło niemieckich obozów pracy, wielu, przymusowo wcielonych do armii niemieckiej, przez cztery lata czekało na możliwość wstąpienia do wojska polskiego. J. W.

Ślązacy ulani niosą obraz Matki Boskiej Piekarskiej



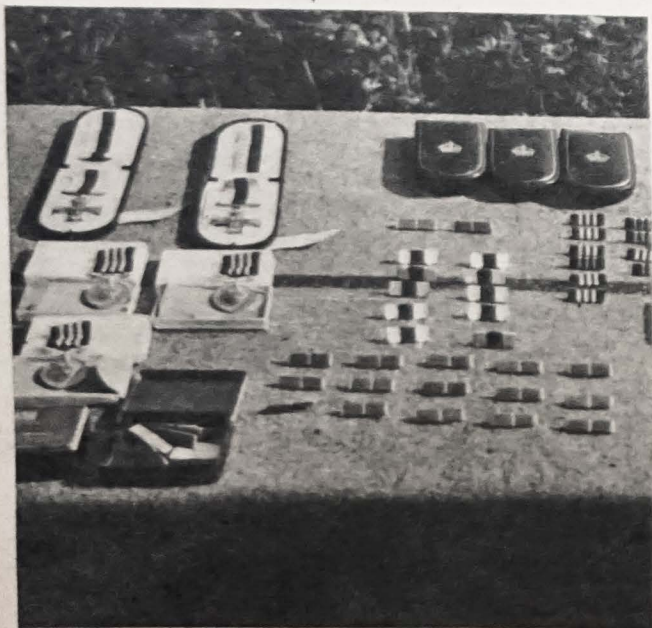
Obraz Matki Boskiej Piekarskiej

Uroczystość została sfilmowana



Odznaczenia brytyjskie przygotowane do dekoracji żołnierzy 2 Korpusu przez Marszałka Sir H. Aleksandra

Przed dekoracją: Marszałek Sir H. Alexander i Gen. Szyszko-Bohusz



BRYTYJSKIE ODZNACZENIA DLA ŻOŁNIERZY 2 KORPUSU

Str. 1: fot. J. Michalski
Str. 2: fot. inż. W. Ostrowski, K. Hryniewicz
Str. 4 i 5: fot. inż. W. Ostrowski
Str. 6 i 7: British Ministry of Information
Str. 7: fot. J. Michalski
Str. 8 i 9: U. S. Office of War Information
Str. 10: fot. inż. W. Ostrowski, K. Hryniewicz, J. Michalski
Str. 11: fot. inż. W. Ostrowski
Str. 12 i 13: fot. Capt. Harry Lotzof
Str. 14: fot. Stelman, A. Chrusciel
Str. 16 — Krakowianka na wielbłądzie — fot. Stelman

Układ graficzny:
JERZY MŁODNICKI

W NOWEJ ZELANDII

Pływalnia polskiego przedszkola



Meła perjentki polskiego szpitala



W oczekiwaniu na wizytę premiera N. Zelandii

Dzieci polskie w szkole



Dom Lotnika Polskiej YMCA



W Nottingham otwarto Dom Lotnika Polskiej YMCA. Oto kilka zdjęć z tego ośrodka, w którym lotnicy polscy spędzają wolne chwile



